MARGUERITE YOURCENAR

Cudzoziemka w podróży

ESEJE

Tłumaczył i opracował Jan Maria Kłoczowski



Warszawa 2026

I
Grecja i Sycylia

Południe: godzina zbrodni w Mykenach.

– Apollinie, o Apollinie, mój morderco...

Kto tak krzyczy? Kasandra. Troja wzięta, na szczytach Argolidy zapalono święte ognie, a poeci podtrzymywać będą ich płomień przez blisko trzydzieści wieków. Na zboczach Myken pełno maków – jakby zakwitły z rozkazu Klitajmestry. Ale ich czerwień nie jest kolorem krwi; to tylko kolor lata. Skrzypią koła rydwanu, który wjeżdża na Akropol i zatrzymuje się przed Bramą Lwów; skrzypią uchylające się wrota. Agamemnon, przyszła ofiara, byk uważający się za boga, stawia stopę na purpurowych dywanach. Królowa dobrze wie, że są zbyt cenne, zbyt święte dla człowieka, że budzą zazdrość bogów; co z góry uzasadnia katastrofę. Na piętrze, w pałacowej łazience, cudzołożni kochankowie ostrzą noże niczym karczmarze, którzy postanowili zarżnąć obcego. Po dziesięciu latach wojny, chwały i nieobecności Agamemnon jest w sercu Klitajmestry już tylko cudzoziemcem.

Na dziedzińcu, pod arkadami, siedzi Kasandra i czeka, aż wezwą ją do pałacu-grobowca. Odrzuciła niegdyś zaloty zakochanego Apolla. Całkiem świadomie, gdyż jako ta, która zna przyszłość, wolała służyć ludziom niż trafić w ramiona boga. Rodzaj kary, która ją za to spotyka, zdaje się mieć ścisły związek z rodzajem zbrodni: jej przepowiednie pozostają niejasne, bo odmówiła Słońcu. Apollo nie pozwolił, by rozumiano jej wyrocznie. I teraz też wygląda na to,

że nikt nie słyszy jej krzyku. Na przekór obłąkanej, która prorokuje w ciemnościach, na jej lud spada nieszczęście za nieszczęściem.

Niewolnica, wygnanka, sierota ubrana na czarno nie oskarża ani króla, który wciąga ją w śmierć, ani jego żony, która poczuła się zniesławiona i podnosi już topór, ani Heleny, choć to jej nieszczęsna uroda sprawiła, że Kasandra musi znosić udręki. Obwinia Boga. Wskazuje na Słońce jako przyczynę wszelkiego zła. Wie, że zemsta jest w rękach Apolla: Ajgistos i Klitajmestra posłużą co najwyżej za rękojeść i ostrze niebiańskiego noża. Wie, że to Apollo, bóg gościńców, władca dróg, po których galopują konie o poranku, sprowadził cudzoziemkę do tej nieszczęsnej oberży.

Rozlegają się wrzaski; Agamemnon rzęzi w obłoku czerwonej pary. Wzywana głośno przez królową, świadoma tego, dokąd zmierza, Kasandra biegnie, by dołączyć do konającego, z którym dzieliła łoże, ale upada na środku dziedzińca, rażona promieniem słońca. Nieszczęsne zbocze opustoszało. Strażnik pilnujący ruin pałacu należącego teraz do Ajgistosa śpi w stróżówce. U stóp wzniesienia właściciel hotelu La Belle Hélène zamyka okiennice, które chronią przed żarem lejącym się z nieba. Apollo, zazdrosny bóg, lśniący sztylet w złotej piersi, króluje samotnie na mykeńskim wzgórzu.

1934 (1970)

Są zwycięstwa, co z obrotem koła zmieniają się w klęski; są klęski, którym boska sprawiedliwość przywraca z czasem blask zwycięstwa: Olimpia, miasto, gdzie przegrany rozpaczał, bo nie zgarnął lauru, wygrany zaś krzyczał z radości, kiedy po niego sięgał, a teraz jedyne, co można tu zdobyć, to milcząca aprobata ciszy i gałązka, którą rozdaje, jak chce, bezstronny wiatr.

Dolina miękka jak wnętrze ludzkiej dłoni, przecięta strumieniem linii serca i rzeką linii życia, z wybrzuszeniem od wschodu w kształcie Góry Jupitera, a nad nią słońce jak dysk rzucony przez dyskobola. Dawno temu, gdy Grecja była jak Indie pełne nieuciążliwych bogów, grupa kapłanów zajmowała się tutaj nacieraniem oliwą wielkiego posągu Zeusa trzymającego w dłoni statuetkę Nike. A my podziwiamy boga z kości słoniowej i złota tylko dlatego, że ufamy tej jednej jedynej o nim wzmiance, która przypomina nam, iż do Olimpii zjeżdżali zarówno ci, co marzyli o laurach, jak i ci, co chcieli się modlić. Zanim jednak ustanowiono kult Zeusa, w Olimpii królowały posągi kobiet, na przykład Hery o krowich oczach, wiecznej jak trawa, spokojnej jak mleczne bydło na polach. Późniejszy Zeus jest tylko brodatą kopią tej świętej samicy. Jak w *Olbrzymce*, jednym z wierszy, w których Baudelaire dociera do Grecji mitów, ponieważ tej właściwej nie szukał, sadowimy się tutaj na kolanach boskiej kobiety. W jej włosy z cienistych sosen drzewa oliwne wplatają srebrne nitki; strumienie są żyłami bogini; obłok zwycięstwa to jedynie lot

gołębi, których biały puch rozwieją stulecia. Krzepcy atleci byli z pewnością młodymi drzewami, a błagalnicy pniami, co wznoszą swoje dwa konary ku niebu. Wszystko wieści tu nie tyle przemianę, co głęboką tożsamość. Nieliczne kolumny, po dziś dzień tkwiące korzeniami w ziemi, wydają się zaskoczone, że nie wyrosły z nich gałęzie ani kwiaty; że nie są jak nimfy zamienione w krzaki, jak chłopcy, którzy stali się narcyzami lub hiacyntami.

Słodko jest owocom na kolanach Ziemi i słodko złamanym sercom. Trzeba tu przyjechać, by zobaczyć, jak porażka i tryumf łączą się w całość, która nas przerasta, ale bez nas byłaby niekompletna. Między życiem a śmiercią, między radością a jej przeciwieństwem toczy się walka, a potem nastaje rozejm, a na koniec – zgoda. Zgoda, czyli flet małego pasterza, który wyśpiewuje to słowo w języku bukszpanu, języku trzciny. Ledwie słyszalny dźwięk nie zakłóca ciszy, lecz się w nią wtapia. Najgłębszy sekret Olimpii tkwi w tej jednej czystej nucie: walka jest grą, życie jest grą, śmierć jest grą; strata i zysk to jedynie ulotne niuanse, ale gra wymaga, byśmy włożyli w nią wszystkie siły, podczas gdy los przyjmuje zakłady tylko w postaci naszych serc. Greccy herosi, promienne dzieci, igrali ze śmiercią tak, jak bawimy się z własnym cieniem; a z Nike – jak z gołębiem grzywaczem, którego uczymy, by siadał nam na ramieniu. Mamy tu jeden z rzadkich punktów stycznych między Grecją a Galileą, gdzie młody bóg czerpie porównania ze świata ptaków i polnych kwiatów: „Jeśli nie staniecie się jak dzieci”*. Ziemia płodzi, karmi i usypia na kolanach swoich synów: Achillesa o stopach lekkich jak kości, którymi grał Los; Pelopsa oraz Aleksandra, co zamienił świat w arenę olimpijską. Aplauz tłumów znaczy niewiele więcej niż

* Mt, 18, 3. Przekład za Biblią Tysiąclecia. Wszystkie przypisy – o ile nie zaznaczono inaczej – pochodzą od Tłumacza.

szum liści; ciało, które upada, nie jest bardziej tragiczne niż ścinane drzewo. Śmierć jest co najwyżej niewinnym robakiem w pięknym owocu, a drzewo, człowiek i robak powracają do Natury, która sama jest ciałem bogów.

Zapada wieczór, równie złoty jak wcześniej poranek, jak cały miniony dzień. Szczyty medytują, przyjmują noc z tym samym wdziękiem, z jakim witały świt. Odrobina światła zastyga w zagłębieniu doliny jak kropla wody w chłodnej dłoni. Noc unosi się w powietrzu, utkana ze złota niczym boska tkanina. Ciemność jest tu bardziej macierzyńska, raczej braterska niż miłosna: Bogini Matka zmienia się w Matkę Dziewicę: Demeter znów staje się Persefoną; Latona jest na powrót Artemidą. Ziemskie kolana przykrywa z wolna gwiezdny aksamit. Z pokąsanej błękitnej piersi Hery tryska mleko i spływa Drogą Mleczną. W ciemnościach, w których wszystko dokoła staje się Mrokiem, na dziedzińcu palestry ledwo można rozpoznać najsmuklejszą z kolumn, którą kiedyś próbowali zapewne obejmować młodzi zapaśnicy tak, jak się chwyta kogoś w talii; jej samotny dziś trzon przywodzi na myśl Hipolita. Życie, namiętna macocha pod postacią odrzuconej Fedry, sprowadziło na niego potwora, którego Herakles zgładziłby bez trudu, ale potwór dmuchnął i to wystarczyło, aby zniszczyć niepokalanego młodzieńca, co był jak kwiat. I wtedy nawiedziła Hipolita nieszczęsna, spokojna i lunarna Śmierć w szatach Artemidy. Nie widział jej, ale domyślał się, że nadeszła, bo konający widzą bogów jedynie oczyma wyobraźni. I my, którzy nieustannie umieramy, tracąc życie, również nie dostrzegliśmy Artemidy. Ale tutaj wdychamy jej zapach – zapach trawy i gwiazd; i leżąc pod rozgwieżdżonym niebem, trzymamy noc za poły płaszcza.

1934 (1970)

DLA KOGOŚ, KTO SPYTAŁ MNIE, CZY MYŚL GRECKA JEST JESZCZE DLA NAS ISTOTNA

Myśl grecka lub raczej rozmaite formy, jakie przybierała myśl greckich filozofów, jest w gruncie rzeczy mniejszościowa, przez co chcę powiedzieć, że idee te były wówczas w Grecji przywilejem nielicznych. Nie mówmy zatem o myśli greckiej jako całości: mówmy o szkołach presokratycznych, o Akademii, o perypatetykach, o stoikach lub o ogrodach Epikura. W ciągu ostatniego stulecia zbyt wiele umysłów o dobrych intencjach (jednym z nich był Renan, choć można by tu przytoczyć wiele innych nazwisk) próbowało przedstawiać nam swoiste kompendium kilkusetletniej wiedzy o Grecji doskonałej, wyjątkowej i niepowtarzalnej, podając ją jako przykład sztuki myślenia i życia, heroicznych cnót i piękna. Ten doktrynerski i akademicki obraz był oczywiście fałszywy i nie miał nic wspólnego z żywymi realiami greckimi na przestrzeni kilku stuleci; w znacznym stopniu przyczynił się natomiast, zwłaszcza we Francji, do obrzydzenia społeczeństwu czytania i studiowania Greków: pożytek z tego zbyt doskonałego posągu, wyrzeźbionego w zanadto białym marmurze, był niewielki.

Rzeczywistość wygląda jednak inaczej. Dotyczy to – zwłaszcza, gdy idzie o filozofię – nie tylko Grecji, ale i Chin, których dzieje liczą sobie kilka tysięcy lat, a nikomu, z wyjątkiem kilku naiwnych, obserwujących je z daleka XVIII-wiecznych entuzjastów nie przyszło na myśl,

by podawać je za wzór ludzkiej doskonałości. A przecież Chiny, podobnie jak Grecja, potrafiły sformułować na przestrzeni wieków wszystkie możliwe poglądy na metafizykę i życie, na kwestie społeczne i te, związane z sacrum, a także przedstawić różne rozwiązania problemów ludzkiej kondycji, zbieżne lub równoległe, a często przeciwstawne, wśród których umysł może dowolnie wybierać. Bez względu na to, czy są to rozwiązania chińskie czy greckie, ich wartość, podobnie jak wynik równania algebraicznego, pozostaje niezmienny, niezależnie od konkretnych realiów, do których odnosi je każde pokolenie. To samo dotyczy Konfucjusza i Mencjusza, mistyka Laoziego czy hedonisty Moziego, pragmatycznych teoretyków legizmu czy twórców różnych szkół greckich: reprezentują oni punkty widzenia, które nigdy – dopóki człowiek pozostaje człowiekiem – nie przestają się zwalczać, wzajemnie wspierać lub korygować.

Zdarza się, co nieuniknione, że wielu myślicieli dochodzi do tych samych stanowisk i rozwiązań – spontanicznie, niejako siłą rzeczy – i to niezależnie od ustaleń poprzedników. Tak było kiedyś i tak samo będzie w przyszłości. Możliwe jednak – o ile kultury nie spotka jakaś katastrofa – że inni myśliciele całkiem świadomie szukać będą wsparcia u tych, którzy mierzyli się z podobnymi problemami, co potwierdzi i umocni ich poczucie ciągłości i ponadczasowego braterstwa. Z pewnością, tak jak w przeszłości, ludzie będą wybierać spośród dotychczasowych możliwości te, które mogą stanowić najlepsze antidotum na ich własne błędy i będą zbieżne z ich poglądami, odrzucanymi przez większość lub wręcz uznawanymi za wywrotowe. W XV-wiecznych kręgach florenckich pozbawiony dogmatów idealizm kształtował się na bazie myśli platońskiej, a filozofowie czerpali z niej wątki niekoniecznie sprzeczne – przynajmniej tak im się wydawało – z propozycją chrześcijańską, która sama w sobie im nie wystarczała. Presokratyków zaczęto rozumieć

dopiero wtedy, gdy głębię ich oferty ujawniły z jednej strony badania nad myślą Wschodu, z drugiej – nowe koncepcje nauki w odniesieniu do wszechświata. Starożytny hedonizm i pyrronizm zawsze służyły zachodniej myśli jako obrona przed nadużyciami dogmatyzmu lub ascezy.

To samo dotyczy naszego indywidualnego życia. Niewykluczone, że jakiś mężczyzna lub kobieta poproszą mędrca stoika o lekcje odwagi, swoje poglądy na temat miłości porównają z propozycjami Platona, ideę czasu skonfrontują z pojęciami Zenona z Elei, a jeśli bardziej ciekawić będzie ich naga rzeczywistość, zaczerpną wiedzy u źródła, czyli w Księdze Drogi i Cnoty.

1936 (1970)

VI
Seria rycin dla Ku-Ku-Haia

Urodziłeś się we Florencji, mieście spiczastych wież i kopuł zaokrąglonych jak pierś, pałaców zamkniętych przed światem jak twarz, co już się nie uśmiecha. Urodziłeś się nad brzegami żółtej i szarej rzeki Arno, tak płowej jak twoja sierść, małe stworzonko, które rywal Marco Polo mógł przywieźć z wyprawy do Azji i wręczyć Beatrycze wraz z naszyjnikiem z nefrytu i dwiema uncjami chińskiego jedwabiu. Sam jesteś jedwabnym smokiem. Twój języczek, różowa woluta, mógł lizać zamyślone dłonie anielskiej Pani i nagie piersi Simonetty.

Tu, w tym mieście, gdzie wszystko połyskuje wiarą jak złote tło obrazów, ogłaszam cię, małe zwierzątko ze Wschodu, chrześcijaninem. A że wędrowałeś na grzbiecie dromadera, pokonywałeś szlaki karawan razem z mirrą, kadzidłem i złotem, przyłączam cię do pochodu Trzech Króli, których Benozzo Gozzoli namalował dla księcia zwanego *Il Magnifico*. Twój pyszczek nie jest ani bardziej czarny, ani bardziej płaski niż twarz Baltazara. W noc Bożego Narodzenia, zwinięty w kłębek w żłóbku, ogrzewałeś małego Jezusa. Jego ojciec, ubogi cieśla, znalazłszy się pewnego dnia w potrzebie, sprzedał cię Marii Magdalenie, która dopiero zaczynała jako kurtyzana, choć jej twarz była już umęczona i przeorana miłością. Pobiegłeś za nią, poszczekując, na wieczerzę do Szymona faryzeusza i byłeś z nią przy łożu śmierci Łazarza. Spałeś

na jej kolanach, gdy towarzyszyła Jezusowi w Betanii. A kiedy stała pod drzewem Krzyża, widziałeś ją, jak płacze, a łzy zmywają resztki różu z twarzy ponętnej kochanki Boga.

▪

Budda, twój bóg, blady asceta z otwartymi rękami, pamiętał, że ma za sobą wszystkie wcielenia znane z bestiariusza i zmieniał postać niczym ludzki zarodek, który zanim stanie się płodem, przybiera formy zwierzęce. Ale tutaj, po tej zimniejszej stronie świata, człowiek zachował Boga dla siebie, tak jak zachował dla siebie wszechświat. Tylko grzech daje tu prawo do życia wiecznego; i nie ma tu duszy bez winy, tak jak nie ma zbawienia bez grzechu. Ty zaś jesteś wcześniejszy niż grzech. Jest w tobie niewinność, a może i złośliwość stworzeń, które rozkwitały, dopóki ludzki umysł wszystkiego nie pogmatwał. Nasi Zbawiciele interesowali się wyłącznie człowiekiem, a w nim – tylko jego duszą, jakby to, że byli niewidzialni, było ich zasługą. A kiedy spostrzegli, że ludzie ich nie słuchają, zwrócili się ku Temu, który nie ma materialnej postaci. Nie chcieli już ani ludzi, ani życia doświadczanego wyłącznie dzięki zmysłom. Pragnęli Boga Doskonałego, Niedostępnego. Ich Bóg był nieskończonością, której nie ogranicza żadna substancja; pustą przestrzenią, z której usunęli wszechświat. Błagając swojego Boga o cud, nie byli zaskoczeni cudem istnienia. Nie budziło ich zachwytu to, że siła, która myśli w człowieku, jest tożsama z siłą pełzającą w dżdżownicy, latającą w ptaku lub wegetującą w roślinie. Z całej natury ciekawiło ich tylko niebo. A jeśli chodzi o ciebie, to skłonni byli co najwyżej uznać, że dostarczasz niewinnej rozrywki Demiurgowi, który wyrabia glinę, że twoje krzywe nóżki, twój okrągły brzuszek i wyłupiaste duże oczy bawią Stwórcę. Ci najbardziej surowi widzieli zaś w tobie

jedynie psa, o którym Pismo powiada, że wraca do swoich wymiocin*.

I być może tylko święty Franciszek gotów był poświęcić tobie dwa słowa w *Pochwale stworzenia*.

▪

A dusz w tobie tysiąc. Dusza węchowa, dla której świat jest jak woreczek zapachów. Dla ludzkich nozdrzy niektóre z nich mogą być obce. Twoja dusza trawienna, zamknięta w sobie jak zwoje wnętrzności, ma apetyt na czyste sumienie. Twój i mój organizm to delikatna chemia soków i tajemnicze kombinacje atomów, dzięki którym istniejemy. Cierpliwie, po cichu, twoje i moje ciało pracuje nad tym, by żyć. Jesteśmy dwoma kawałkami życia, które przylegają do siebie i są oderwane od reszty. Poznajemy się wzajemnie w przeciwieństwie do wszystkiego innego. Żyjemy, ty i ja, w ciele na tyle szczelnym, by mogły się w nim przetaczać ciepłe fale życiodajnych cząsteczek krwi, a jedyne bodźce, jakie odbieramy z zewnątrz, sprawiają, że nasze ciało odczuwa rozkosz albo cierpi. Nieustannie wprawiasz w ruch, napędzasz lub tłumisz strumień obrazów, przeczuć i wrażeń, które są dla ciebie wszechświatem. Podobnie jak ty, wbrew oczywistym dowodom, wyobrażam sobie tylko taką nieskończoność, której centrum znajduje się w moim sercu.

▪

Kochasz mnie. Jestem dla ciebie tą, która otwiera drzwi, zapala lampę, może przygotować posiłek. W tobie dotykam czegoś, co tkwi głęboko w każdym z nas, czyli egoizmu, który jest podstawą wszelkiej miłości. Tylko ty, widząc we mnie Niewyjaśnioną, postrzegasz mnie jako Wszechmocną. Codziennie, z niesłabnącym zapałem, liżesz moje dłonie.

* Por. Stary Testament, Prz 26, 11.

VIII
Rawenna, czyli grzech śmiertelny

Przeczytałam wczoraj po raz pierwszy powieść Huysmansa *Na wspak* i przeczytałam ją w Rawennie. Ta dyskusyjna książka właśnie wychodzi z mody, aby przejść do Historii. Czy to ważne, że des Esseintes nigdy tu nie był? Na liście jego ćwiczeń duchowych nie znajdziemy podróży. Gdyby jednak zechciał okryć się czymś cieplejszym niż brokat, mógłby chwycić to miasto niczym kołdrę z kamienia, dużo grubszą i większą, niemal całkowicie odporną na podmuchy Czasu. Na ulicach obsadzonych niskimi domami, gdzie z rzadka rozbrzmiewa banalny jazgot trąbek orkiestry, gdzie sklepy zarzucają swoje staromodne przynęty, wszystko tchnie nudą zbyt długich, wypełnionych monotonnymi zajęciami dni, a Zazdrość jest najbardziej hołubionym z siedmiu grzechów głównych. I tylko kościoły ukryte tu i ówdzie za fasadami z porowatej cegły, niemal podziemne, bo schodzi się do nich krętymi korytarzami, otwierają się jak piwniczne okna świata duszy. Des Esseintes mógłby tu zaspokoić rozpaczliwy głód braterstwa w samotności – ostatniego ogniwa, jakie łączy z ludźmi tych, którzy, dobrowolnie lub nie, zerwali ze społeczeństwem. Mógłby tu odnaleźć odwiecznych wspólników we śnie, w ciszy, w odrętwieniu.

Hiperbola mej pamięci…

Hiperbola i parabola to dwa matematyczne klucze do absyd, dwa rodzaje krzywej, którym podporządkowany jest ciężar kamieni. Ich zastosowanie, zarówno retoryczne, jak

i geometryczne, widoczne jest na każdej ze stronic raweńskich ksiąg ze szkła i złota. Parabole Chrystusa, świeżość tematów, dziecięca prostota duszy. Hiperboliczny język imperium, pełne patosu deklamacje na cześć Cezarów. Imperatorzy dzielili tu na czworo włosy dogmatów, gwałcili prawdy, teksty traktowali jak podbite miasta, sens zdań Pisma wypaczali tak, jakby chodziło o wypróbowaną przez niektórych zamianę płci. Wszystkie niebiańskie efekty świetlne zostały wykorzystane na ścianach tych absyd przez niecierpliwą rasę, gotową karmić się tu, na ziemi, obietnicami Boga, zanim dojrzeją. Tę rajską trawę skubie dwanaście baranków, symbolizujących Apostołów; i ta sama trawa służy od wieków za pożywienie jeleniom zmuszonym paść się na sklepieniu grobowca. Gdy dobiegają końca ospałe parady skoszarowanego Rzymu, zakłócane niekiedy pięknym okrzykiem obłąkanego cesarza, ludzkie procesje stają się tu wreszcie tym, czym zawsze były: pochodem męczenników. Grube imperialne płaskorzeźby wtapiają się w ścianę i wyglądają jak defilada cieni. Zachodnie cesarstwo, pokryte ropiejącymi wrzodami, tarza się jak Hiob, ale w łajnie pełnym szlachetnych kamieni. Postaci z mozaik są niczym szafirowe zasłony, rubinowe widma, przez które przeświruje światło Boga.

Nie ma miasta, w którym przepaść między tym, co wewnątrz, a tym, co na zewnątrz, między życiem publicznym a tajemnym życiem w samotności, byłaby bardziej widoczna. Na placyku słońce ogrzewa metalowe krzesła przed wejściem do kawiarni; na smutnych ulicach zanoszą się łzami brudne dzieci i ciężarne kobiety. Ale tutaj, w całkowitej ciemności, do której szybko się przyzwyczajamy, tu i ówdzie rozbłyskują ognie, jasne jak światła duszy i osadzające się w niej z wolna kryształki nieszczęścia. Filary kręcą się wraz z ziemią. Sklepienia obracają wraz z niebem. Apostołowie tańczą przy dźwiękach powolnego walca i po chwili wirują jak derwisze. Boskie ręce są wiotkie, niemal niewidzialne, jak te, które ocierają się o twarze podczas

seansów spirytystycznych; są śmieszne jak dłonie rysowane na ścianach, by wskazać nam drogę, zawsze nie tę, którą powinniśmy pójść. Bo nie są w stanie stworzyć świata od nowa, boskie dłonie zadowalają się udzielaniem błogosławieństwa. Jedną z tajemnic Rawenny jest graniczący z najwyższą prędkością bezruch, który przyprawia o zawrót głowy. Drugi sekret Rawenny to zagadka nadiru, czyli zstępowanie w głąb. Postacie z mozaik są dosłownie wydrążone: wykopały w sobie ogromne jaskinie, w których przyjmują Boga. Pogrążone w ekstazie, wyruszają na antypody dnia w poszukiwaniu nocnego słońca. Ich doświadczenie jest zaprzeczeniem gotyku, który odruchowo wyciąga ręce ku Bogu. Uwięzione przez sen w kopułach niczym komorach dla nurków, szukają ucieczki przed tumultem świata w ciszy i spokoju otchłani.

Nie jest prawdą, że ci mężczyźni i te kobiety oddali się Bogu, by uniknąć świata broczącego krwią, w którym przechodzień mógł w każdej chwili zostać ugodzony w głowę odłamkiem imperium. Czasy medytacyjnego odosobnienia i żarliwego smutku są częściej przygotowaniem do katastrofy aniżeli jej opłakiwaniem. Poprzedzają epokę klęsk, tak jak grzech poprzedza karę. Absydy Rawenny to piękne boksy dla czterech koni Śmierci. Jeśli barbarzyńcom wystarczyło uderzyć barkiem, by obalić Imperium, to zapewne stało się tak dlatego, że jego wychudzeni władcy nie interesowali się już niczym innym poza własnymi smutnymi radościami. Skropione obficie wonnościami postaci z mozaik robią wszystko, by jak najszybciej stanąć nad grobem. Jedna po drugiej popełniają z rozkoszą najcięższy grzech przeciwko naturze, polegający na odmowie bycia w świecie. Tak bardzo nienawidzą ludzkiej sylwetki, że skutecznie odbierają świętym wizerunkom cały ich ciężar, całą grubość, a niekiedy i kształt: zapowiadają El Greca i jego sztukę drżących płomieni. Lubują się

bojaźliwie zwłaszcza w drogich tkaninach, które chciałoby się bezkarnie pognieść, a także w szlachetnych kamieniach, które parzą, ale przynajmniej nie zadają bólu. Bez względu na to, czy wierzą w prawdziwe istnienie Chrystusa, czy też nie, robią co się da, by jego wizerunek był jak najdalszy od realiów historycznych: i oto opada fałszywa broda Mesjasza, skrywająca wieczną młodość Boga. Boski młodzieniec wygląda znowu jak wielki Anioł. Po raz kolejny dogmaty pełnią tu rolę pojęciowej siatki, przez którą prześwitują intuicyjne znaczenia. Ci mistycy wierzyli, że wyrzeczenie jest jedyną drogą do zbawienia, że trzeba uciekać od świata, że uniwersalny porządek opiera się na baranku ofiarnym. Wszyscy nieszczęśliwi przyznają im rację.

Kto wykracza poza ludzką rzeczywistość, ten ma przed sobą tylko dwie drogi: może posiąść życie jak kobietę, zdobywać je jak świat, poskramiać jak drapieżnika, pożerać jak upolowane zwierzę lub splunąć na całą tę zgniliznę.

Wybór mamy jeden: czysta zmysłowość albo czysta perwersja, magiczny realizm, który wpisuje się zwycięsko w sam rytm rzeczy albo mistyczne wyrzeczenie, czyli odsuwanie owych rzeczy na bok po to, by stworzyć sobie niebo. Można być Cezarem w Rzymie lub śnić na pustyni. Des Esseintes i jego koronowani bracia z Bizancjum lub z Bawarii wybierają to drugie. Podobnie jak owe postaci przylepione do ściany, stojące na skraju przepaści, które niczym Chosroes* marzą o własnym firmamencie, własnym krzyżu i słońcu. Szaleni bohaterowie późnego cesarstwa mają skłonność do grafomanii, toczą bez końca jałowe dysputy, obojętni na wszystko, co nie jest ich własnym obłędem, niezdolni do tego, by tworzyć. Ale posiadają również dar łez oraz przywilej polegający na tym, że, zamknięci w swoich celach, mogą słuchać urojonego

* Yourcenar ma zapewne na myśli „króla królów", Chosroesa II Parweza (zm. w 628 r.).

śpiewu aniołów. A wszelkie akcesoria ich samotnego szału, jego instrumenty i ozdoby, są jedynymi ich arcydziełami. Ich sztuczne raje wyłożone są niczym innym jak kamieniem wapiennym, szorstką cegłą, a kawałki kolorowego szkła i skrawki złota to próba desperackiego oszustwa. Ich drżące ręce zostawiają delikatny, ledwo widoczny odcisk na murach obryzganych krwią i substancją, która świeci w ciemnościach. I te Raje są jak bawarskie zamki nad brzegami Bosforu, jak Schwarzwald porośnięty raweńskimi piniami.

Byron medytuje w Pineta di Classe, a jego koń stąpa wolno po dywanie z igieł. Poeta ma dość Rawenny, ponieważ tu mieszka. Wielkie piersi Teresy Guiccioli kojarzą mu się już tylko z dwoma opróżnionymi bukłakami. Mozaiki w tutejszych kościołach odbiera naskórkiem duszy wyczulonej na malowniczość, co zastępuje mu miłość do sztuki. A ponieważ wszystko szuka dopełnienia, to nie jest przypadkiem, że Napoleon pragnie pisać tragedie, a Byron – wygrywać bitwy. Działanie to hobby poetów, którzy lepiej niż inni umieją zamienić je w dramat. Subtelnego lorda męczą wędrówki w głąb samego siebie pośród łuszczących się fresków własnych marzeń i zamazanych inskrypcji wspomnień. Zagubione w złotej mgle postaci z mozaik zdołały jedynie zamienić się w widziadła, a Byron chce czegoś więcej: chce stać się Bogiem. Pragnie umrzeć, czyli żyć. Stary mit Boga-Człowieka złożonego w ofierze ożywa raz jeszcze we krwi, która za chwilę się poleje. Po drugiej stronie Apeninów dogasa powoli stos Shelleya. Płowy koń rusza stępa po piasku wybrzeża, jeszcze miększym niż leśny mech. Fale wyginają grzbiety, gotowe by je dosiąść. Byron odwraca się plecami od bagna duszy i patrzy w stronę Missolungi.

Rawenna, 1935